

Trzej bracia (3)

(fragmenty)

Początkowo nie bardzo mu wiodło się w pracy i już na jej starcie, pod obserwacją ciekawskich parobków nie mógł poradzić sobie z założeniem chomąta na szyję koniowi, który nie zawsze czekał spokojnie na nieskładne ruchy Pranasę i tak kiwał, trząsł głową, że wszelkie próby ujarznienia go kończyły się niepowodzeniem. Starął się przypomnieć sobie to, w jaki sposób wykonywał te czynności jego ojciec, jak postępował z koniem, przecież znał na pamięć podstawowe zasady zakładania uprząży: zawsze odwracano chomąto tak, ażeby jego szersza część mogła przejść przez głowę zwierzęcia, a później już na szyi przekręcano je, ustawiano na właściwe miejsce. A teraz jak na złość – nic nie wychodziło. „Co za cholerne bydlę... Jakie przebiegłe, chytre. Ażeby cię szlag trafił!” – przeklinał w myślach upartego konia.

– No, pokaż... Zobacz, jak to się robi... Trzeba odważnie i zdecydowanie zakładać chomąto... O tak... widzisz... – zlitował się wreszcie nad nim jeden z dwóch parobków, obserwujących rozpaczliwe jego zmagania z koniem i pokazał mu właściwe chwyt z tym wielce nieskomplikowanym sprzętem.

Natomiast drugi kolega stał z boku i cały czas parskał ze śmiechu – widocznie ta niezradność, zagubienie Pranasę wywoływały w nim nieukrywane zadowolenie, pozwalały na chwilę odprężyć się, zapomnieć o czekających na niego codziennych obowiązkach, a zarazem poczuć swoją wyższość nad tym nieopierzonym jeszcze „szczeniakiem” i tym samym dowartościować się.

– No, już nie cackaj się z nim. Niech sam sobie radzi. Jak nie potrafi, to niech siedzi u mamy pod spódnicą – rzekł mniej życzliwy parobek. – Idźmy w pole, czas zacząć orkę...

I natychmiast wyprowadził ze stajni już zaprzęgniętego do pług konia, a za nim podążył jego kolega, udzielający dotychczas pouczeń Pranasowi.

– Nie martw się, wszystko będzie dobrze. Nie przejmuj się gadką mego kolegi – rzucił parę zachęcających słów na pożegnanie.

Na tym jednak nie skończyły się kłopoty, które jak natrętne muchy bzykały wokół niego, wywoływały dużą nerwowość, utrudniały pracę w polu. Wprawdzie dość sprawnie udało mu się przypiąć lejce, przymocować pług, ale już podczas orki wyszły na jaw jego słabość fizyczna, brak doświadczenia. Nie potrafił jednocześnie kierować koniem i płynnie prowadzić pług i dlatego bruzda była często za płytka, krzywa, a skiba kładła się nierówno, schodami, raz wyżej, raz niżej. Co i rusz musiał cofać się, z wielkim wysiłkiem podnosić pług i zmuszać niepokornego zwierzęcia do wykonywania jeszcze raz tej samej roboty, zaś ten stawał coraz większy opór i co chwilę głośno parskał, przystawał, nie chciał w ogóle słuchać swego nowego gospodarza i wreszcie, ku ogólnemu zaskoczeniu, zaczął brykać. Wystraszony Pranas nie wiedział co robić, w jaki sposób ujarzmić konia i stał bezradny, przygnębiony w polu, gotów zostawić to wszystko i uciec jak najdalej od tego fatalnego miejsca. Głowa dudniła chaotycznymi, niepowiązаныmi ze sobą myślami, jakaś ciemna

plama przesłaniała mu cały horyzont, utrzymywała w odrętwieniu. Jak długo znajdował się w tym stanie, nie mógł później dokładnie ustalić, gdyż czas jakby utracił swoją wartość, znaczenie i dopiero głośne okrzyki parobków, pracujących wówczas niezbyt daleko od niego, obudzili go z tego swoistego letargu.

– Co ty, gówniarzu, wyprawiasz? Zamęczysz na śmierć swego konia. Kto ciebie dopuścił do takiej roboty? Spierdajaj stąd! – przez zaorane pole biegli w jego kierunku dwaj, już mu dobrze znani, mężczyźni, groźnie wymachując rękami.

Najbardziej wrogo do niego nastawiony parobek lekkim ruchem ramienia odepchnął go od pług i chciał walnąć w twarz, ale powstrzymał się, widząc dezaprobatę, wręcz groźbę na twarzy kolegi i tylko ograniczył się do przekleństw:

– Smarkaczu, ty gnoju... Szlag by cię trafił. Nie mogłeś siedzieć w domu? – i oczywiście posypały się jeszcze bardziej wulgarne określenia. – Twój ojciec był poczciwym człowiekiem, ale zginął na dupie baby...

Pranas cierpliwie przyjmował te gromy, lećca na jego głowę, ale kiedy usłyszał te ostatnie słowa oczerniające zmarłego ojca, wszystko w nim zabulgotało, krew mocno się wzburzyła i z jego gardła bezwiednie, mimo woli zaczęły lecieć tak mocne, wielce nieprzyzwoite słowa, że agresywny parobek od razu zamilkł i z otwartą gębą patrzył na niego.

– Toś ty taki? Jeszcze młokos, a przeklina, jak stary szewc. Ohoho! Chyba za dużo sobie pozwalasz, zółtodziobie – powiedział wreszcie ten parobek, po długiej tyradzie Pranasę.

Widać było, że te przekleństwa zrobiły na nim wrażenie, poczuł od razu pewną sympatię do Pranasę i wreszcie zrozumiał, że ma do czynienia z zadziornym, zahartowanym w bojach chłopem i poprzednia złość złagodniała, a za chwilę w ogóle go opuściła.

– No, już dobrze. Jesteś oferumą i nic na to nie poradzimy. Stasys, pokaż mi jeszcze raz jak należy prawidłowo orać. Ty masz więcej cierpliwości, niż ja... – zwrócił się pojednawczo do kolegi, bardziej sprzyjającego Pranasowi.

– Ale z ciebie, Juozas, cwaniak! – rzekł tenże Stasys. – Chcesz mnie wykorzystać? No dobra... poświęć się i tym razem. Koń już wyczął i możemy zacząć...

Cierpliwie pokazywał, jak należy ustawiać pług, ażeby lemieś mocno wgłębiał się w ziemię i równo wywraçał skibę, uczył go umiejętnie kierować koniem, nie przejawiać nerwowości do zwierzęcia, który od razu potrafił to wyczuć i również tracił szybko spokój. Na pozór wydawało się to takie nieskomplikowane, proste, ale kiedy Pranas sam brał za rączki pług i próbował orać, wszystkie uwagi i wskazówki Stasysa nie znajdowały praktycznego zastosowania: znów, jak i dawniej wszystko się psuło, nie wychodziło według jego zamysłu.

– Ile ci mam pokazywać, tłumaczyć... a ty robisz swoje. Jaki ty tępy!... – denerwował się Stasys, a jego kolega Juozas uśmiechał się ironicznie.

Wreszcie, za którymś razem udało się Pranasowi wyprowadzić prawidłowo bruzdę, co bardzo go podniosło na duchu, dodało skrzydeł,

a również pochwały parobków, a zwłaszcza tego, który go cierpliwie uczył, przyjemnie go połaskotały. I znów wykonał w należyty sposób kolejną bruzdę, a później następną i tak dalej...

– Dobrze... dobrze. Tak trzymać! Teraz możemy iść do swojej pacy... – poklepalili go po ramieniu i oddalili się.

Teraz dopiero nabrał chęci do pracy, zaś poprzednie załamanie, bezradność ustąpiły miejsca radości, zadowoleniu i chciało mu się głośno krzyknąć, oznajmić całemu światu: „Jak jest fajnie! Umieć już orać! Wszystko idzie jak po maśle!” Nawet nie zauważył, jak zaszło słońce, pociemniało, jego koledzy dawno ukończyli pracę, a on orał i... orał, aż nagle został wyrwany z tego swoistego transu przez pana Rybickiego, który pofatygował się sam na pole, aby przyjrzeć się młodemu pracusiowi.

– Chłopcze, już starczy. Zapracujesz się na śmierć. Teraz szybko idź do domu, odpocznij – powiedział rozkazująco i już odchodząc dodał: – Dobry będzie z ciebie robotnik.

Zadowolony z siebie, z postępów w pracy wracał nasz bohater do domu i dopiero tam poczuł niesamowite zmęczenie, kompletne wyczerpanie sił. Nie pomogło zachęcanie, przywoływanie matki „synku, zjedz coś”, bo ledwo zdążył zdjąć z siebie przeponą lnianą koszulę, ciężkie spodnie z samodziału, runął bezwiednie do łóżka i natychmiast zasnął. Jednak nie był to długi, zdrowy sen, gdyż tuż po północy zbudził go ból w mięśniach, a szczególnie w nogach, szumiało mu w głowie, gardło kompletnie wyschło i język nieposłuszenie obracał się jak jakiś kołek, chciało się pić i jeść. Wstał szybko, wypił pozostawione mu przez matkę na stole mleko, zjadł kromkę chleba i ponownie zarył się w łóżku, lecz niedługo trwał jego sen i to niepożądane, jakże niemiłe „synku, wstawaj, czas do pracy” wyrwało go z krainy spokoju, marzeń i zapomnienia, powróciła ponura rzeczywistość, która czekała na niego z otwartą, uzbrojoną w zęby paszczą. Znowu następowało zakładanie chomąta, mocowanie się z koniem, ustawianie pług, a później stąpanie gołymi nogami po polu, które odczuwały zimno i ciepło gleby. Przez stopy Pranas jeszcze mocniej łączył się z przyrodą, wchłaniał w siebie całą życiodajną moc ziemi, wychwytywał niemal każde jej drgnienie, wyczuwał bicie jej serca, pracę żył. Mocne deszcze, jak bicz smagały bezlitośnie go po plecach, twarzy, rękach, zaś ciepłe wiatry z kolei suszyły ciało, przynosiły ukojenie, słońce znów rozgrzewało, opalało, pobudzało do życia – wszystko to hartowało go, stawał się coraz bardziej dojrzały, męźniał na oczach wszystkich. Najbardziej upodobał sobie bronowanie, gdyż takie, wydawałoby się bez troskie chodzenie po polu za broną, nie wymagało wielkiego wysiłku, koncentracji uwagi, jednak i tutaj czyhały nieprzyjemne niespodzianki: podczas upalnego, suchego lata powstawały twarde jak kamień grudki ziemi i stąpanie po nich nieuzbrojonymi w obuwie stopami nie należało do przyjemności, czuło się niesamowity ból, jakby ktoś je dopiekał rozżarzonym żelazem, a powstałe z tego powodu rany goiły się powoli i długo dokuczaly.